

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicji 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Julian wyjechał dla zdania egzaminów i pisanie swjej lekarskiej rozprawy, której miał bronić publicznie — w pałacu panowała cisza przedburzowa, Ostójski też musiał na wszelki wypadek tak swe interesa uporządkować, aby go sprzedaż majątku i możliwe wyjście z dzierżawy, nie zastały nieprzygotowanym.

Stary hrabia siedział w oficynie, hrabina płakała w pałacu. Carita po niejakim czasie objawiła swjej dobrodziejce postanowienie założenia pensyi w miasteczku. Zdawało się iż ex-kapelan poddał jej tę myśl, gdyż za nauczyciela do kilku przedmiotów miała go zamówionym i do ogólnego nadzoru nad zakładem. On też pierwszemu urządzeniem się zajmował. Na wiadomość o tém stara hrabina podniosła oczy, popatrzyła na włoszkę, pokiwała głową i spytała ją, czy niema może zamiaru wstąpić później do jakiego zakonu? Carita zarumieniła się mocno, a po chwili szepnęła, iż za nic ręczyć nie można jeśli przyjdzie natchnienie. Na tém się skończyła rozmowa. Wkrótce potem do nowo zajętego domu przeniosła się włoszka, przybyła jeszcze jedna podrzyła już nauczycielka, wzięta z poręki ks. Wikarego i rozszesłano ogłoszenie o otwierającej się pensyi, wedle planu i metody innych, klasztornych urzędzonej.

Po wyjeździe hr. Edwarda kilkanaście dni upłynęły bez

żadnej o nim wiadomości, ojciec tém był niespokojniejszy, iż na nim ostatnie swe pokładał nadzieje. Nareszcie jednego dnia hrabina bilecikiem oznajmiła mężowi, że miała mu coś do udzielenia z listu Edmunda. Hrabia pospieszył do pałacu. Na stoliku zastał list otwarty, który syn, więcj do matki czując zaufania, do niej adresował... Mniej więcj brzmiał on jak następuje — „Niechciałem nic pisać o sobie dopóki by się coś stanowczego nie trafiło, o czém by donieść było warto. Szczęściem przybywszy do stolicy zastałem tu niczém nie popsute pole, gdyż o naszym nieszczęściu wiadomość jeszcze była nie doszła. Przez dni kilka musiałem odwiedzać moich znajomych, aby wpaść na myśl jakąś, na drogę. Miasto zastałem prawie puste, wszyscy jeszcze byli u wód lub na wsi. Już prawie zwątpiłem o powodzeniu, gdy mi się nastreczył baron Sauer. Ani hrabia ani mama kochana nie możecie znać barona Sauer, gdyż i on i jego baronowstwo świeżej jest daty. Wyrósł on, wychował się, dojrzał, wygładził się, spotęźniał i przywdział tytuł na giełdzie. Niepotrzebuję objaśniać, iż należy do najstarszej na ziemi arystokracji, bo pochodzi z pokolenia Lewi. Pamiętają go ludzie buchhalterem w podrzędnym domu wekslowym, potem handlarzem akcyi i papierów, potem w małej sklepiku gdzie pieniądze zmieniał i sprzedawał wa-

lory, potem współnikiem jakiegoś przedsiębiorstwa kolei żelaznej, potem bankierem na pierwszym piętrze pod Lipami, naostatek... baronem Sauer i milionerem... Jakże go mam opisać? Im z mniejszego wyszedł, tym dziś jest większym panem, ale co się zowie grand seigneur. Pałac przepyszny, willa cudowna w thiergartenie, ekwipaż jeden z najpiękniejszych, stół lukullusowy, dom otwarty, bale jakich ambasadorowie nie dają... Otarł się przytém tak wybornie, iż w nim owego dawnego buchhalteru ani znać...

Baron Sauer był mi zawsze bardzo przyjaźnym. Zobaczywszy mnie, zaprosił na obiad mężki. Żona jego była na wsi. Pojechałem, było nas kilku z wyższego tutejszego świata dobrych chłopców radej się poweselić i pośmiać. Przy obiedzie paplaliśmy. Zgadało się o ożenieniu, jam się nie bez celu wyrwał, że mnie celibat nudzi, i że gotów bym się ożenić... Baron podchwycił — na prawdę? — naprawdę. Niemasz hrabia przesądów? — Żadnych, ale wymagam od żony wykształcenia jęj stanowi właściwego, młodości i — dokończyłem na dłoni wskazując jak się liczy gotówkę. Baron się roześmiał. Cela va sans dire? rzekł. Chcecie się żenić, bierzcie Filipinę Sauer, mojego zmarłego brata siostrę... Widzieliście ją, ładna jak aniołek a raczej jak szatanik, uczona jak Rahel... i ma trzykoć sto tysięcy talarów posagu... Wiem że jesteście katolikiem i że dla was, sama przyzwoitość wymaga aby żona była katoliczka — ale o to bardzo łatwo — nam wszystko jedno... Filipinę umyślnieśmy zachowali i wychowali... nie dając jęj żadnej konfesjonalnej edukacyi, aby sobie religię wybrać mogła... Gdyby się trafił bankier izraelita — mogłaby zostać w wierze ojców, jeśli protestant junkier, gotowa być protestantką, — a gdy się katolik podoba — będzie katoliczką.

Uśmiechnął się pocziwy Sauer, znajdując nadzwyczaj praktycznem wychowanie synowicy — przyznaje się, że mnie to wszystko wielce także nęciło. Widywałem już pannę Filipinę, jest ładna, a raczej śliczna bruneteczka maleńka, nos tylko nieco za rasowy... rączka i nóżka cudne, oko dyamentowe, żywa, dowcipna... i trzykoć sto tysięcy talarów.

„Dobijemy targu“, rzekłem, „byle nie długo myśleć...“

„Seryo.“

„Zupełnie.“

„Mam pisać by żona ją przywiozła?“

„Proszę.“

Podaliśmy sobie ręce... Zgoda stanęła; Sauer zatarł ręce... Mnie się w głowie kręciło. Powróciwszy do domu zasmuciłem się trochę. Te stósunki! stósunki! pokrewieństwo z Mendelsohnami i Beerami a zatem i Meyerbeerenmami mogą smakować... mnie com nie muzykalny... ah! tam zaraz w miejscu powinszowali mi wszyscy, a ktoś zręczny przysięgał się iż dawno we mnie domyślał się miłości dla panny Filipiny. Nieprzeczyłem. Nazajutrz gruchnęło to po Berlinie, nie ręczę, żeby Sauer sam bojąc się mego wycofania, nie roztrząbił. Zatelegrafowano moje oświadczenie do Ostendy.

Po tym pamiętnym mi obiedzie upłynęło dni cztery, jednego ranka otwierają się drzwi i bez anonsovania wchodzi do mnie Baron, ale kwaśny i z wywróconą twarzą, ażem

się zląkł. Stanął naprzeciw mnie, kiwając głową w milczeniu.

„No, no, podszedłeś nas hrabio, wcale zręcznie...“

„Ja? jak?“ spytałem.

„Ojciec wasz zbankrutował?“

„Tak źle nie jest“, rzekłem, „interesa są ciężkie, ale nie zrozpaczone...“

„Ale wy nic nie macie?“

„Mamy jeszcze stósunki i imię, które coś przecie warte“, odrzekłem dumnie, „a ja siebie też nawykłem nieco cenić...“

„To wszystko dobrze“, odparł Baron, „Filipina poszła by za was, gdybyście złamanego nie mieli szeląga, umielibyśmy was i imię spożytkować. Idzie o to że ożenienie w chwili gdy bankrutujecie, rzuca na nas cień niemiły, jakobyśmy kupili was sobie na licytacji. Tego nie chcemy. Interes nie był zupełnie to jasny, trzeba nam było powiedzieć wszystko...“

„Zatém zrywamy interes“, rzekłem kłaniając się.

„Nie możemy zerwać“, odparł siadając Baron, „ale go musimy ułożyć tak, aby się to inaczej wydawało. Możecie się wszakże pochwalić, iż potrafiłście wpędzić w matnię Barona Sauer, który nikomu nigdy jeszcze łapać się nie dał.“

Pomimo nieukontentowania i chwilowego nieporozumienia układ przyjdzie do skutku. Sauer rozgłosić potrafił żeśmy z panną od roku byli zaręczeni.

Widzę że hrabia i mama się może wzdygnie, wystawiając sobie moją Filipinę cale inaczej niż jest. Muszę więc dodać, że oprócz piękności, oprócz najwyborniejszego wychowania, jest rozumna, dowcipna i umiejająca się tak zastósować, iż dla niej żaden świat, żadne towarzystwo nie będzie straszem. Niech ludzie sobie co chcą szepcą po cichu, mnie to jest obojętnem. Hrabia jeśli można, dobrze by zjechał tu a wesele przyspieszyć by się dało...“

W przypisku do tego listu, hrabia Edmund wyszczególniał jaką oprócz posagu, panna Filipina przyniesie wyprawę i że samych sreber ma za piętnaście tysięcy talarów i t. p.

Hrabia wysłuchał czytania listu z rezygnacją chłodną. Ani ów, ani żona jego nie widzieli w tém małżeństwie nic tak nadzwyczaj niestósownego. Żadne téż z nich nie przypuszczało nawet, iż Abraham Helig kupiec i dzierżawca arędy w miasteczku w blizkiem był w pokrewieństwie z hrabiną przyszłą, jak się to później okazało...

Hrabina przywodziła mnóstwo przykładów podobnych we Francyi, hrabia wiedział o przybliżonych do tego w Anglii wypadkach. Westchnęli oboje i stary pan nazajutrz pocztę zamówił do stolicy. Honor i syn był ocalony — ale co z rodzicami stać się miało? Nieśmieli nawet mówić o tém, choć oboje czuli, że zostając na łasce syna, byli w położeniu dosyć — przykrem. Tymczasem życie szło trybem dawnym, dwór i wydatki zmniejszone być nie mogły. Hr. Edmund tak się spieszył, iż gdy ojciec nadjechał, już znalazł dzień ślubu naznaczony i przepyszne litografowane karty de faire part, gotowe do rozesłania w imieniu rodziny.

Baron Sauer przyjął jego Ekscelencyą z wielkimi honorami, dał obiad pyszny na którym był jeden minister

i dwóch generałów, pokumał się z nim serdecznie i przyniósł go do ziemi swą poufalością. Wyprostowany, chłodny, ale trupio-blady hrabia przeszedł przez te wszystkie próby ognia, rachując iż cierpliwością zdobędzie sobie modus vivendi przyzwoity, będąc na łasce syna i synowej.

W przeddzień ślubu postanowił rozmówić się z Edmudem, który zmieszany trochę oświadczył mu iż — baron Sauer wziął na siebie ułożenie wszelkich interesów pieniężnych i że hrabia z nim o tém będzie musiał pomówić jako z opiekunem jego przyszłej żony. Hrabia prawie to wołał, jednak kwaśno mu było. Tegoż dnia napisał bilecik do barona, który się zjawił zaraz dla pogadanki.

Wielkiemu panu ciężko przychodziło otrzeć się o drażliwą materję, ale — musiał.

„Kochany baronie“, rzekł, „wiesz jak z łaski plenipotentów i złych ludzi z którymi mieliśmy do czynienia, majątek nasz został nadwreżony. Przyjdzie wam go okupić pieniędzmi synowej, ale cóż my dla siebie wymówić mamy?“

Bębniąc po stole palcami i wpatrując się w swą tłustą rączkę Sauer począł, nie spojrzawszy nawet na hrabiego.

„Les bons comptes font les bons amis! Ja także pragnąłem o tém z kochanym hrabią pomówić. Sprawa mojej pupilli i synowicy nie moja, wymaga z méj strony nadzwyczajnej baczości... cudzy interes, panie hrabio — cudzy — rzecz święta!“

Westchnął.

„Jużćie na to nie pozwoli nasza familia, aby hrabia i hrabina zostali bez przyzwoitego utrzymania, ale — my wiele dać nie możemy... Tam na majątku niema nic... nic...“

„Panie baronie, przy dobrém gospodarstwie... będzie przewyżka...“ zawołał hrabia.

„No! toż trzeba żeby mąż coś miał! To co my ofiarujemy, to tylko z serca dobrego i przez szacunek dla państwa... ale my wiele dać nie możemy. Filipina ma trzykroć sto tysięcy talarów. Co one robią włożone w ziemię? Ziemia to hipoteka doskonała ale interes kiepski. Pięć procentów! co to jest! pięć procentów! Co to jest za lokata, kiedy ona dziś z papierów ma piętnaście! Cóż oni będą mieli dochodu? Piętnaście tysięcy talarów! Co to jest dla nich piętnaście tysięcy talarów? Co oni mogą z tego dać?“

Baron zatrzymał się, hrabia zagryzał usta aż do krwi niemal.

„Ja jestem człowiek praktyczny“, rzekł Sauer, „niech pan popyta, że mnie tu wszyscy znają za praktycznego człowieka... Proszę wierzyć. Hrabina mama niechaj zostanie przy dzieciach, po co jęć jeździć i tracić osobno... na małe potrzeby, mając wszystko w pałacu, czy to wiele na wsi się wydaje! Ah, tysiąc talarów to świat!! Co się tyczy pana hrabiego, my wiemy, że pan przywykł jeździć, że panu to do zdrowia potrzebne... Teraz wszystko tanieje... no! trzy tysiące talarów?“

Popatrzał — hrabia słuchał z oczywa spuszczeniem

w ziemię, nie mówiąc słowa, nie zdając się mieć ochoty odpowiadać.

„Z cudzej kieszeni mnie trudno szafować“, dodał Sauer, „no! a na prawdę niema z czego! Jeśli się interesa poprawią później, a majątek oczyści...“

Hrabia jeszcze nie odpowiedział i głowę trzymał spuszczoną. Bankier nie wiedział co to ma znaczyć, ale nie śmiał być natrętnym. Począł palcami grać na stole i wpatrywać się w nie osłupiałym wzrokiem.

Panowało milczenie przykre. Nagle hrabia wstał, wyprostował się, głowa do góry i rzekł sucho:

„Cóż robić! co robić!“

Napróżno Sauer starał się jakąś obojętną zawiązać rozmowę, nie było sposobu, stary milczał z dumą która się targować ani chciała ani myślała — Sauerowi przykro było może iż się to tak urwanym sposobem skończyło, po chwili jednak pożegnał się i wyszedł. Nazajutrz miał nastąpić ślub w kościele Św. Jadwigi, gdyż chrzest panna młoda kilka dniami wprzód odbyła... Niewielka garstka zaproszonych świadków towarzyszyła obrzędowi. Ze strony pana młodego był sam jeden ojciec obwieszony orderami, z gwiazdą i w mundurze kawalerów Bożego grobu, który jest wspaniały. Pokrewni panny patrzali z pewną dumą że takiego pięknego szczupaka złapać sobie potrafili. Baron Sauer miał wprawdzie kilka pięknych dekoracyi, ale takiego przepysznego munduru!! zazdrościł...

Po odbytym obrzędzie na obiad zaprosił do siebie baron całe towarzystwo składające się z dwudziestu kilku osób. Uczta była prawdziwie królewską i tak kosztowną iż goście mimowoli jedząc rachowali ile to talarów na nią wyszło. Przepych w srebrze, w porcelanie, w winach niezrównany. Sauer jadał w dni powszednie, gdy żony nie było, a huis clos, obiady z traktyeru mu przynoszone po 15 sgr., ale gdy należało — wystąpić — występował pańsko.

Hrabia stary wielki znawca win i delikatesów utrzymywał, że takiego wina Bordeaux nie pił od lat dziesięciu... Sauer zapraszał naiwnie swych gości. „Proszę tego skosztować“, mówił do krewnych, „pan w domu tego nie dostaniesz...“

Późną nocą jakoś skończyła się nareszcie Baltazarowska uczta owa i wszyscy wstali weseli i szczęśliwi... Całe towarzystwo odprowadzało na kolej państwa młodych, którzy wedle zwyczaju przedsiębrali miodowy miesiąc spędzić w szwajcarskich gospodach. Mieli tylko wstąpić na godzinę do majątku, aby hrabinę zaprezentowała się synowa i natychmiast ruszyć w drogę. Stary hrabia jechał z niemi także. Na stacji kolei czekał jeszcze kosz szampana ze złotemi szyjkami... wypito zdrowie... zaświstała lokomotywa ironicznym jakimś głosem — i... w świat...

Trzykrotne — hoch! rozległo się po za wagonem... w którym hrabina Filipina z ogromnym bukietem uśmiechała się mężowi naprzemian i staremu hrabiemu, już drzemiącemu po trudach biesiadnych.

FRYDERYK SZOPEN.

Sztuki piękne w ogóle dzielą się na dwie wielkie klasy, na tak zwane plastyczne i idealne. Do pierwszych zaliczają architekturę, snycerstwo i malarstwo, bo wszystkie wlewają myśl swoją w materyał wydatny, namacalny. W dziale zaś idealnym zamieszczają muzykę, poezję i wymowę, bo tu myśl przedewszystkiem panuje nad materyałem, którym jest głos i ton. W tym dziale idealnym, bezwątpienia sztuką najwięcej idealną jest muzyka, bo chociaż wszystkie podniecie głównie biorą z uczucia, jednak muzyce przed innemi zwykliśmy je przypisywać i w niem uważać treść i potęgę jęj tonów. „Muzyka“, mówi filozof nasz, „jest jak człowiek niemowa, z przepełnionem sercem żalu lub radości, z żywą wyobraźnią, obrazów pełną — nie mogąc tego wszystkiego wymówić, wypowiedzieć, on cały staje się żywym obrazem myśli swoich, żywym uczuciem uczuć swoich i w tym stanie niemego uniesienia, dziwne, acz niewyraźne robi na nas wrażenie. Tak samo działa muzyka. Tony jęj są niemowne, a jednak pełne znaczenia; nic nie wypowiadają, a jednak porywają z sobą; nie płaczą, ani się śmieją, a jednak cała rdzeń duszy w nich się rozplynęła i rozrzewniły lub rozweseliły nas. I ta to nieoznaczoność uczuciowa sprawiła zapewne, że muzykę wzięto za wyraz samego uczucia.“

„Najłatwiej tego charakteru dopatrzyć, gdzie sztuka jest jeszcze naturą. Pachole wiejskie nuci sobie pieśń wesołą, bo odmłodniona natura, ciepło, co już lato zapowiada i kwiecie drzew owoc wrózące przejmując radością i mimo wiedzy i woli jego, tworzy w duszy marzący ideał co się śpiewem wypowiada. Gdy to same pachole widzisz w polu w późną jesień, okryte płachtą, którą się od burzy i wichru zasłania, i wtenczas także nuci — nuty wrzaskliwe, jakby przygłuszyć chciały wycie wiatru, a melodyą w której się już uczucie minionego szczęścia wyraziło, odpierać się zdaje doskwierające zimno i dokuczliwą nędzę. Usnęło w kołysce schorzałe dziecko; matka mu nuci pieśń smutku, ale w tej nucie kwili nadzieja, ów słodki pocałunek przyszłości, dający otuchę, że dziecko wróci do zdrowia. Tam, gdzie się boleść serca w tony rozplynęła, przestała już być boleścią i melodyą przyniosła ulgę zbolącej duszy.“

Podaliśmy te przykłady dla stwierdzenia, że muzyka z uczucia, jak ze strumienia Lete napić się musi wody i być wiernym jego odbiciem.

Muzyka będąc objawem odcieni wzruszeń ludzkich, będąc mową przeznaczoną do wyrażenia uczuć, musi w każdym narodzie nosić piętno, czyli typ, jaki wywarł w usposobieniach narodu klimat, a jednocześnie jaki wywarły warunki, z życia społecznego i politycznego tego narodu wynikające. Przeto, jakkolwiek mowa muzyki, kosmopolitycznym jest językiem, nie idzie zatem żeby wszędzie jedno i też same wzruszenia i myśli wyrażać miała. Przeciwnie, z tego co dopiero powiedzieliśmy wynika, że muzyka w swoim toku, to jest w swoim rytmie, tchnąć musi życiem narodu, życiem które mu jest wrodzone i które jego odpowiada naturze. Bo każdy naród ma inne dzieje, a na tém dziejowem

tle inne snuł myśli i zapragnął przyodziać je w poezję słowa i dźwięku, w sposób sobie tylko właściwy. Ztąd też muzyka kraju każdego, jeśli ją jeszcze echo obcych dźwięków nie przygłuszyło, jeśli jeszcze swojej pierwotności nie straciła, mieści w sobie, albo mówiąc wyraźniej ma w treści swojego życia dwa główne pierwiastki. Jeden który wynika z charakteru narodu; drugi który się wytworzył z natury i rodzaju myśli, jakie w przestrzeni życia tego narodu zajmowały go i nim władały. Oba te pierwiastki w jedną całość jednocząc się, są przyczyną że chociaż wspólnym organem muzyki, jest jeden i ten sam język, jednak w każdym kraju jest ona sobie właściwą, oddzielną i odrębną. O tej niezaprzeczonej prawdzie przekonują odrębne typy muzyki, jaką jest muzyka włoska, hiszpańska, niemiecka, słowiańska i t. d.

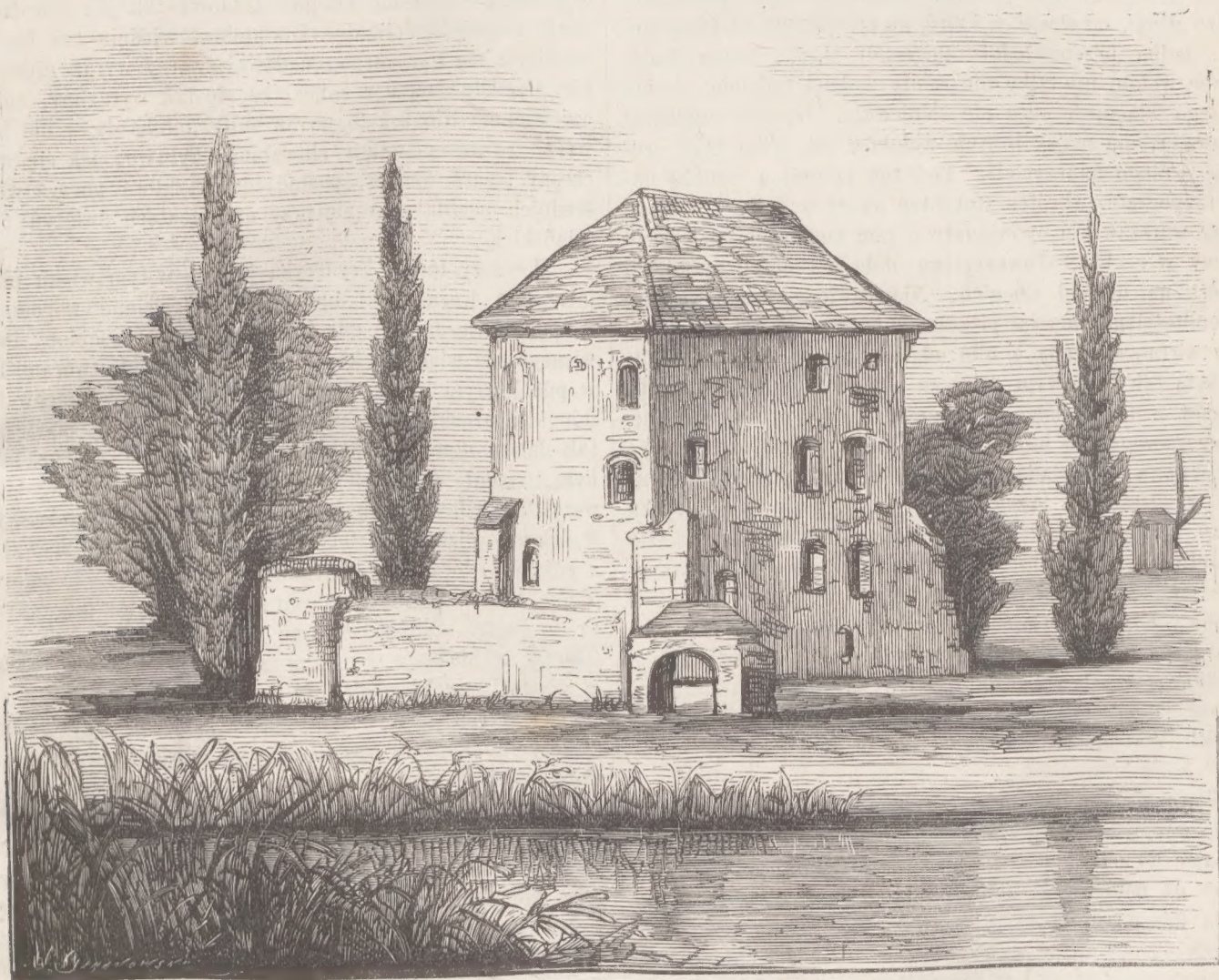
Wśród szczepów słowiańskich, uposażonych do muzyki niepoślednim darem, Polacy od niepamiętnych czasów posiadali sobie właściwe, z charakteru narodowego wynikłe formy, jakie ich muzyka przybrałszy, w nie się zamknęła i tak się do dziś dnia przechowała. Te formy stanowią: Polonez, mazur, obertas czyli kujawiak, krakowiak, duma ukraińska, pieśni ludowe czyli gminne i pieśni kościelne. Że nie forma sama, lecz że melodye każdej z tych form, oddzielnym technieniem i życiem są napiętnowane, zbytecznym byłoby dowodzić, gdyż samo poczucie to wskazuje. Są to więc źródła, z których świeżość uczucia i myśl narodową zaczerpnąć można i dla własnej przyswoić duszy. Że te formy mogą służyć za materyał dalszego rozwinięcia muzyki, że przez wyższe szczeble dadzą się te formy przeprowadzić, to nam w swoich genialnych utworach dowiódł i niezatartą tego pamięć zostawił Szopen. Szopen jako muzyk-poeta, z pełną rodzinnego uczucia duszą, właściwą sobie utworzył frazeologię muzyczną; własne przybrał w nią myśli i tak trafnie przyodział, że wśród najzawilszej całości jego utworu, wśród form kosmopolitycznych, t. j. muzycznemu światu wspólnych, czujesz tętno rodzinnej pieśni, jakby już znaną, której rozlegające się echo, nieraz po ojczystej słyszałeś ziemi. Szopen dziełami swemi uderzył w ten tajemniczy kamerton w którego dźwiękach pieśń polska po raz pierwszy świat oblatuje. Zdaje mi się więc że jeżeli dla kogo to dla Polaka poznanie życia prywatnego i artystycznego tego mistrza o którym mówią że arfę Dawida w spadku otrzymał, jest pełne interesu i znaczenia.

Ojciec Fryderyka, Mikołaj (Chopin) Szopen urodził się w Nancy r. 1770 w chwili kiedy jeszcze tradycja księcia Lotaryngii a poprzednio króla polskiego, Stanisława Leszczyńskiego w pamięci tamtejszych mieszkańców w całej sile żyła. Szopen przyszedłszy do lat młodzieńczych, jak wielu z jego współrodaków, olśniony przymiotami króla filozofa, zapragnął poznać ten naród, któremu Leszczyński pannał. Sposobność w krótko się nadarzyła, a korzystając z niej przybył do Warszawy w chwili kiedy nieszczęśliwy

naród zebrawszy resztki sił moralnych, przygotowywał się do radykalnego przeobrażenia swego politycznego bytu, w chwili rozpoczęcia sejmku czteroletniego.

Czy z tęsknoty, czy też może z innych widoków, po kilku latach pobytu, razy dwa próbował opuścić Polskę, lecz na samym jej progu, na granicy, oba razy zapadł w ciężką chorobę, niepozwalającą mu dalszej odbywać drogi i gdy później pytano, dla czego nie myśli o powrocie do Francji, zwykł był odpowiadać: „Próbowałem dwa razy to uczynić i o mało życia nie straciłem; widać że prze-

Krzyżanowską, i wkrótce połączył się z nią węzłem małżeńskim. Bóg pobłogosławił ten związek trzema córkami i synem, któremu dano na chrzcie imię Fryderyk tj. imię ojca chrzestnego hr. Fryderyka Skarbka. Było to r. 1810 w Żelaznej woli, wiosce o sześć mil od Warszawy odległej i dziedzicznej w ówczas hrabiów Skarbków. Dziecina była niezmiernie wątła, wrzaskliwa, tkliwa a przytém niesłychaną żywością charakteru i zadziwiającą bystrością obdarzona. Współcześni mówią, że jeszcze w niemowlęctwie prawie okazywał Fryderyk płaczem drażliwość lubo nie bo-



Zamek w Gołańczy.

znaczenie chce ażebym pozostał już w Polsce; zgadzam się więc z wolą Opatrzności i zostaję.“

Był to człowiek wykształcony, łatwo mógł więc znaleźć w Warszawie przyzwoite utrzymanie. Szkoła liceum Warszawskiego, szkoła aplikacyjna i akademja duchowna, otworzyły mu swoje katedry, z których dochód uwolnił go od opieki i materyalnej pomocy możniejszych.

W roku 1806 przebywając na Kujawach w zamożnym domu hrabiów Skarbków, jako nauczyciel zasłużonego w literaturze Fryderyka Skarbka, poznał tam pannę Justynę

lesną, na dźwięki muzyczne, a kiedy się patrzył na ludzi swemi dużemi i pełnemi wyrazu oczkami, zdawał się obserwować, zdawał się śledzić najmniejszy odcień ich charakteru; dla tego też talent naśladowania i udawania innych w późniejszym wieku do wysokiego stopnia doskonałości doprowadził. Pod okiem rodziców dziecina rosła, a ponieważ organizm jej był wątły i chorobliwy, cała uwaga i starania familii zwróciły się na zdrowie. Wtenczas to zapewne zrodziła się w duszy Fryderyka, ta troskliwość i ta wrażliwość, na wszystko co innym cierpienie sprawiało, wrażliwość którą

się w całym życiu odznaczał. Prócz tych oznak żywości i tkliwości, niczem więcej przyszłego geniuszu nie zdradzał. Zwykle widziano tę drobną istotę cierpiącą i uśmiechniętą, zawsze cierpliwą i bawiącą się. Kochano go więc powszechnie za te przymioty, sądząc że się całym sercem oddawał i skryte tajniki duszy im otwierał. Nauki szły Fryderykowi z niezmierną łatwością, muzyka zaś najsilniejsze na nim czyniła wrażenie; to też już w dziewiątym roku życia naukę jej rozpoczął, pod kierownictwem Czecha, nazwiskiem Żywna, namiętnego zwolennika Sebastjana Bacha. Początki te odebrał i skorzystał z nich z całą sumiennnością, według przepisów klasycznych. Prawdopodobnie przez czas bardzo długi, od chwili w której go poświęcono karierze muzyki, żadna przepowiednia przyszłej sławy, żadne fantastyczne widoki nie tylko nie robiły nadziei rodzinie, ale nawet jego własnych oczu nie olśniewały. Uczono sumiennie i z uwagą, nie mając innych widoków jak tylko chęć zrobienia z niego nauczyciela. Pod tak pomyślną wróżbą nauka rozpoczęta, wkrótce stokrotne owoce wydała. Ówczesne salony warszawskie opowiadały o tém cudowném dziecięciu i kiedy w r. 1818 Towarzystwo dobroczynności urządziło koncert na dochód ubogich, Niemcewicz wraz z innemi znakomitościami, wezwał piśmiennie poczynającego rok dziewiąty wirtuoza, ażeby w nim udział przyjąć zechciał. Trudno było tak łaskawym prośbom odmówić, po naradzie więc rodziców z nauczycielem zgodzono się propozycję przyjąć. Między szczegółami koncertu, na którym grał kompozycję Gyrowetza, opowiadają współcześni następującą okoliczność: Godzin parę przed rozpoczęciem, postawiono Frycka (tak go bowiem powszechnie w domu nazywano), na krześle i poczęto ubierać. Frycek przedewszystkiem zadowolniony był z pięknego kołnierzyka, jak mu na ciemny surducik włożono. Kiedy po skończonym koncercie, na którym matka być nie mogła, wzięła syna w objęcia i okrywając pocałunkami, wypytywała się, co też najwięcej publiczności podobać się mogło? bez wahania odpowiedział, iż jego kołnierzyk! „Wie mama, wszyscy tylko na mój kołnierzyk patrzyli.“

Skoro Szopen już lata dziecinne mijać zaczął i kiedy w grze swojej znaczne zrobił postępy, troskliwy ojciec nie odrywając go od nauk w liceum warszawskim pobieranych, wezwał na nauczyciela kontrapunktu, Elsnera, ówczesnego rektora konserwatorium warszawskiego. Znany z zacności i talentu Elsner spostrzegłszy wyższe zdolności chłopczyzny, całą duszą ukochał go i ze szczególną troskliwością obznajmiał z zawilemi zasadami kontrapunktu. Nieraz zwracano uwagę Elsnera, że Szopen kierując się porywami własnej fantazyi, pomiatał i odstępował reguł w muzyce przyjętych. „Dajcie mu pokój“, zwykle odpowiadał Elsner, „prawda że nie idzie on drogą zwyczajną, ale i talent jego jest niezwykajny. Nietrzyma się on ściśle metody utartej powiadacie, bo ma własną, i to właśnie jeżeli się nie mylę, stanowić będzie jego wyższość i oryginalność, jakiej dotąd nikt nie posiadał.“ Z tej odpowiedzi widzimy w jak wysokim stopniu nauczyciel przeświadczony był o geniuszu swego ucznia i jakie drogi wybierał by iść mógł najwłaściwszą sobie kolejną. To też Szopen jeżeli przyszłą swą wielkość

zawdzięcza przyrodzonym darom, niemniej winien ją temu, który z całą miłością i bezinteresownością prawdziwego artysty, dary te pielęgnować i rozwijać umiał.

Umysłowe zdolności wszechstronnie kształcącego się Fryderyka zdumiewały wszystkich. Żywy, dowcipny, płodny w pomysły, łatwy w wysłowieniu i piśmie, wszystkie te przymioty każą wnosić, że gdyby Szopen działalność swego geniuszu skierował na inne pole, np. pole literatury twórczej dar jego wzniosłby się do wysokości, do jakiej płody muzyczne doszły. Łagodny, czuły, wykwinny we wszystkim, już w 15 roku życia łączył w sobie wdzięk młodości z powagą wieku dojrzałego. Budowa tak jak i w dzieciństwie pozostała delikatna i subtelna, właśnie ten brak rozwinięcia się fizycznego, nadawał twarzy wyraz niezwykły, nie przedstawiający w sobie, że się tak wyrazimy, ani płci ani wieku. Nie był to wyraz mdły ani hardy — nie był to wyraz z różową twarzą cherubina, była to, jak się współczesny pisarz wyraża, postać idealna którą poezja wieków średnich posługiwała się przy ornamentach świątyń chrześcijańskich.

Twórczy talent Fryderyka już się w tym wieku przebijał. Pan Karasowski opowiadając dziecinne wspomnienia Szopena twierdzi, że gdy był stosownie usposobiony improwizacye nie wiele go kosztowały. Za to nad utworami które w późniejszym czasie przeznaczał do druku, pracował sumiennie, troskliwie a nawet ciężko. Czasami myśl jakaś, tak dalece nim ośladła, że się stawał milczącym, posępnym, siadał w kącie unikając ludzi i rozmów. Kiedy wszystkim zdawało się że śpi, (a ślano mu łóżko zazwyczaj w salonie gdzie stał fortepian) on tymczasem zrywał się z pościeli, biegł do instrumentu, uderzał kilka akordów, potem kładł się, ażeby znowu się zerwać i tak nieraz trwało aż do świtu. Służące słysząc jak panicz po nocach wstaje, uderza w klawisze i potem znowu kładzie się, płacząc, w prostocie ducha ubolewały nad bżikiem jego.

W wycieczkach pozamiejskich z ojcem, gdy posłyszał z chaty lub karczmy rozlegające się dźwięki skrzypiec wiejskich, stawał nieruchomy, tonął duszą w sielskiej melodii i dotąd w zadumie słuchał aż skrzypki ucichły. W tych to wycieczkach leży cała tajemnica owego piętna narodowości, jakie cechuje wszystkie utwory Szopena. Owocem pierwszych prac kompozycyjnych były: 1. Rondo na cztery ręce. 2. Rondo à la Mazur, Sonata 4. a nadewszystko Mazury z kolei 6 i 7, które najprzód a tak świetnie imię jego po obczyźnie rozniosły. W r. 1825 znów publicznie występował na koncertach amatorskich, dawanych w sali byłego konserwatorium; grał także w tymże czasie przed cesarzem Aleksandrem I, za co otrzymał od monarchy kosztowny pierścień brylantowy.

We trzy lata później t. j. w r. 1828 wyjechał z profesorem Jarockim, udającym się na zjazd naturalistów do Berlina. Pan Karasowski niezmordowany szperacz materyałów tyczących biografii Szopena w zbiorze listów i uwag podaje 3 pisane do rodziców z Berlina. Ponieważ one najlepiej charakteryzują młodzieńca wesołego, trzpiotowatego i zaczynającego się dopiero domyślać swojej artystycznej wartości, pozwalamy więc sobie w wyjątkach takowe przedstawić.

„Najukochańsi rodzice i siostry moje!

W niedzielę około 3 po południu, przydyżansowaliśmy do tego zawiłkiego miasta. Z poczty zaprowadzono nas prosto do oberży pod Kronprincem i tam dotąd stoimy. Dobrze nam tu i wygodnie. Zaraz pierwszego dnia naszego przyjazdu wziął mię pan Jarocki do Lichtensteina, tam widziałem Humbolta. Lichtenstein oświadczył mi że mię zapozna z pierwszymi mistrzami mój sztuki, żałując żeśmy dniem wprzód nie przyjechali, bo właśnie tego dnia rano jego córka grała z akompaniamentem. Mniejsza o to ostatnie, pomyślałem sobie. Czym zgadł? nie wiem jeszcze, bom jęj dotąd nie widział a témbardziej nie słyszał. W niedzielę, w dzień naszego przyjazdu grano operę „Przerwana ofiara.“ Wizyta p. Lichtensteina nie dozwoliła być na nięj. Wczoraj miał miejsce obiad wspólny owych (dla mnie karykatur) uczonych, których tu już na trzy podzieliłem klasy, nie pod przewodnictwem Humbolta (bo ten bardzo dobrze ułożony) ale jakiegoś innego czopmistrza, którego nazwiska w tęg chwili sobie nie przypominam, lecz mam zapisane pod zrobionym przezemnie jego portretem.“

Następnie szczegóły listu dotycząj nowości artystycznych i opisu powierzchowności miasta, w końcu tak pisze:

„Nasze podróżne towarzystwo składało się z jednego prawnika Niemca, zamieszkałego w Poznaniu, a odznaczającego się ciężkimi niemieckimi żartami, i tłustego Prusaka agronoma, którego już dyliżanse (albowiem wiele podróżował) wykształcili. Taka była nasza kompania aż do ostatnięj stacyi przed Frankfurtem, gdzie nam przybyła jakaś niemiecka Korinna, pełna achów, jaów, nainów, słowem istna romantyczna pupka. Ale i to bawiło, zwłaszcza

że się przez całą drogę gniewała na swego sąsiada prawnika.“

Zakończenie listu opisujące obiad uczonych i wrażenia jakie pięć piękna Berlina na nim zrobiła jest pełne humoru:

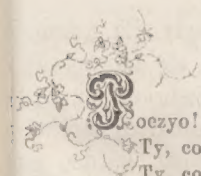
„Pan Jarocki chciał się postarać ażeby mnie puszczo na wieczór do Humbolta, alem go prosił by tego nie czynił, bo mi się to na nic niezdą, a potem krzywoby na mnie mogły patrzeć inne zagraniczne głowy, gdyby między sobą ujrzały profana. Zresztą nigdy nie chcę być nie na swoim miejscu, i tak już przy stole, krzywo na mnie patrzył mój sąsiad. Był to profesor botaniki z Hamburga pan Lehmann. Zazdrościłem mu jego paluchów. Ja dwoma rękami bułkę łamałem, on jedną pogniótł ją na placek. Żabka takie miała łapeczki jak niedźwiedź. Gadał z panem Jarockim przezemnie a w rozmowie tak się zapominał, tak się zapalał że po moim talerzu paluchami gmyrał i okruszyny zmiatał. To prawdziwy uczony bo przytém miał nos duży i niezgrabny. Siedziałem jak na szpilkach podczas zamiatania mojego talerza i potem musiałem go froterować serwetą.

„Marylski za grosz gustu niema, jeżeli mówi że berlinki piękne. Są to wszystko same gołe szczęki, alias gęby bez zębów. A stroją się... szkoda owych pociętych pysznych muślinów na takie lalki irszane.“

Następne dwa listy w tymże stylu w większej części opisują rzeczy widziane, znajomości muzyczne, teatru i koncerta. Z przytoczonych wyjątków powziąć można to przekonanie, że był to młodzieniec żywy, dowcipny i z umysłem postrzegawczym. Druga zaś część listów dowodzi że tylko sztukę miał na celu, o nięj marzył i dla nięj rodzinną Warszawę opuścił.

(C. d. n.)

SEDAN. NA POBOJOWISKU.



Poezyo! Matko natchnienia i siły!

Ty, co do życia budzisz śpiące bryły —
Ty, co na grobach dajesz życie ludom —
Co przewodniczysz wybawienia cudom; —
O, ty, co jeńcom przypominasz lata
Kędy nie znali ni bata ni kata —
Ty, co w kolebce śpiewasz niemowlęciu
O wszechanielskiem ducha wniebowzięciu...
Poezyo! zakryj twe czoło przejasne —
Własną twą dłonią przebij łono własne —
Lutni twęj struny podrzój na pioruny —
Szatę twą zamień na trumien całuny —
I jak Bogini zemsty i rozpaczy,
Rzuć te pioruny na głowy siepaczy!...

Poezyo — matko miłości i wiary —
Ty, co świat pieścisz na łonie ofiary —
Ty, co łyż budzisz a koisz boleści —
Ty, której łono światy w sobie mieści —
Ty, co na skrzydłach archanielskiej siły,
Do życia wznosisz odwieczne mogiły —
Ty, Apostolko pokoju i cnoty,
Pełna niebiańsko-nadziemskiej tęsknoty —

Ty, co niebiosy bratasz z ziemią czarną —
Dla szczęścia ludów gardzisz chwałą marną —
Poezyo! otwórz dłońmi skrwawionemi
Grób taki wielki jak nieszczęścia ziemi —
Przestań żyć wiarą — śpiewać ludom przestań —
I w ten grób wielki połóż się — i nie wstań!...

Bo świat nie idzie, jako orłów stado,
Ku słońcu walczyć wszechwładności szpadą —
Słońca promienie rozciąć na kawały —
I niemi rozgrzać niebo i świat cały —
Zagasić w blasku słonecznej jasności
Pożary zemsty i ognie podłości —
I fanatyzmu rozjuszone jady —
I nocnych trupów lńiące się mirjady —
A potem — widząc, te półsłońca gasnąć —
Zlać się w źródło szczęścia — i na kwiatkach zasnąć!...

Bo świat zapominał, że ze krwi i bólu
I z łez wyrosnął — że na walki polu
Ludów miliony, siew wieków zostawił —
I białe karty dziejowe zniesławiał!...

Ogniem i mieczem — zbrodnią i bezceścią —
 Jękami dzieci i hańbą niewieścią,
 Świat ten nie naprzód, ale w przepaść bieży —
 Bezprawie siłą — a prawem nóż kata —
 Siła żelaza ludzkości los mierzy...
 Oto postęp świata!

* * *

Po czaszkach chodzę — żyję krwi wyziewem —
 Na polu pusto, wśród trupów tysięcy...
 Poezyo! czemuż twym ożywym śpiewem
 Nie zbudzisz braci, co nie wstaną więcej!...

Cicho... lecz ucho bolejące, z drżeniem
 Ostatnie echa konających słucha...
 Poezyo! czemuż nieśmiertelnym pieniem
 W urny szkieletów znów nie wlejesz ducha?...

Tyle umarłych! Ileż kart wyrwanych
 Z księgi dziejowej i z przyszłości księgi!
 To Dziejów trupy!... W piersiach krwią zalanych
 Ileż zamarało i ducha potęgi!...

Każde z tych dzieci, co tu na pustyni
 Ginie, ostatnie wymawiając słowa —
 To wyłamana kolumna świątyni —
 To dla przyszłości ginący Jehowa!...

Ileż tu dzieci, co nie znało jeszcze
 Szeptów miłosnych, ni serca poranka...

Poezyo! czemuż twe akordy wieszczę
 Do kochającej nie wróć kochanka?...

* * *

Po trupach stąkam... Tu zwycięzców kaski —
 A tam skrwawione zwyciężonych stroje...
 Gladiatorowie!... ale gdzież oklaski?
 Olimpijskiego gdzież Raju podwoje?...

Z jękiem — bez skargi — bez sławy zginiecie,
 Wy, nowych bogów uzbrojone szyki!
 Nikt po was płakać nie będzie na świecie —
 Lecz świat was przeklnie —
 boście niewolniki!

* * *

Ale cóż widzę? czyż oko mnie myli?...
 Tu dwóch żołnierzy, w uścisku ostatnim,
 Dłonie złożone w pojednaniu bratnim —
 Umiera razem... jakby razem żyli!

Temu na piersiach łśni francuzka wstęga —
 Drugi to ułan... lecz mundur prusaka...
 Za życia wrogil!... ale śmierć ich sprzega —
 Bo w obu trupach biła pierś Polaka!

Czyliż to bracia? choć ich różni szata?
 Czyliż to pruskie czy galijskie hordy?
 Poezyo! kiedyż twoja lutnia zbrata
 Rozdarte Polski akordy!...

Sedan, 5 Września 1870.

Henryk Merzbach.

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Hrabia zapowiedział stanowczo dzień odjazdu na pierwszego Maja. Ewunia płakała po nocach. Adam posłyszał o tém, posłyszał zapewne od matki. Nie przepomniął tych łez w wielkim poemacie pisany wyraźnie pod natchnieniem Ewuni:

Nie mogła nic przemówić, aż ję się rzuciły
 Strumieniem łzy: poznałem jak byłem ję miły.
 Pomnę pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał,
 Z radości i z rozpacz, zapomniał się, szalał;
 Już chciałem znowu upaść ojen ję pod nogi,
 Wię się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi!
 Weź za syna lub zabij!... Wtém stolnik posepny,
 Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
 Wszczął dyskurs o czém? o czém? o córki weselu!

Tak bywało nieraz w rzeczy samj. Hrabia powtarzał często: muszę wracać do kraju, czas wydać za mąż córkę!

Słowa te raniły jakby sztyletem serce biednej Ewuni: Adam cały drżał z gniewu.

„Czuł on ile jest piekła w obrażonej dumie!”

Drażliwość hrabiego powiększył jeszcze list odebrany z Galicyi. „Rozchodź się wieść”, pisał jeden z sąsiadów, „że wydajesz córkę za sławnego wieszczę polskiego.”

Hrabia rzucił list z gniewem.

„A widzisz”, zagadnął żonę z okiem iskrzącym od oburzenia, „czy nie mówiłem do czego to wszystko doprowadzi?”

Hrabina zbladła; położenie ję nadzwyczaj było trudne. Starła się złagodzić niepokój męża, ufając że cierpliwością i słodyczą złamie w końcu wszelkie zapery.

Ostatnie dni przed wyjazdem przykre były dla Adama, i nie mniej przykre dla Ewuni. Zdarzało się najczęściej, że hrabia wchodził do salonu, gdy goście zebrani już byli wieczorem. Witął wtedy wszystkich z prawdziwą uprzejmością, p. Edwarda z serdecznym współczuciem, bardzo go bowiem lubił, — Adamowi tylko nigdy nie podał ręki.

Biedna Ewunia wśród tych łez i tego niepokoju, miała jednak przed odjazdem, jedną jeszcze z tych chwil słonecznych, których pamięć świeci sercu na długie lata. Dnia jednego siadała z rodzicami do stołu, kiedy nagle wpadł Adam.

„Jedźmy! jedźmy co prędzej!” wołał w uniesieniu, „nie mamy chwili do stracenia. W willi Doria Pamphili odkryto starożytne Columbaria. Potrzeba je zobaczyć, zaczęć drudzy posłyszają o nich. Strzelecki lub inni, gotowi się dowiedzieć!... Uprzedźmy ich, a naśmiejemy się z panów archeologów.”

Wieść o Columbariach zaciekało żywo hrabiego. Pośłał zaraz po pojazd. W mgnieniu oka znaleźli się wszyscy przed bramą starożytnj willi. Nie małe było ich zdziwienie, gdy spostrzegli tam pana Edwarda, Strzeleckiego i całe grono znajomych.

„Gdzież te Columbaria“, pyta hrabia z ukrytym gniewem domysławiając się jakiejś mistyfikacji.

„W willi“, odpowiadają wszyscy chórem.

W willi nie było Columbariów, ale było zastawione śniadanie, w sali przystrojonej kwiatami. Należało użyć podstępny, inaczej hrabia nie byłby przyjął zaprosin; ziomkowie zaś przebywający w Rzymie, chcieli tym sposobem wywdziżyć się hrabiemu za miłe chwile spędzone w gościnnych jego progach.

Willi ta założona niegdyś przez Innocentego X z domu Pamphilich, jest dziś własnością książąt Doria. Gospodarze uczyli wyjednali sobie na ten dzień wolny przystęp do tego uroczego przybytku sztuki. Po śniadaniu, całe towarzystwo rozbiegło się po prześlicznym ogrodzie. Puszczono wodotryski. W pośród nich, Trausteveranki w stroju rzymskim tańczyły Saltarelle. Adam z Ewunią zrywali anemony nad jeziorem: on uwił dla niej wieniec, ona dała mu wiązkę z róż i laurów.

„Jedne za późno, drugie ze wcześniej“, rzekł poeta.

Kilka godzin ubiegło jakby sen czarodziejski. Wszyscy goście hrabiego czuli się weseli i szczęśliwi: Adam improvised pod wpływem prawdziwego natchnienia.

„Był to dzień najpiękniejszy w mojem życiu!“ mówiła do nas Ewunia. „Jak będę umierać jeszcze go nie zapomnę!“

Ale i ten dzień tak uroczy, miał się zakończyć w smutny sposób. Mrok zapadł, księżyc ukazał się na niebie. Ojciec nalegał do powrotu. W tém nadbiegł posłaniec z listem do Adama; donoszono że ksiądz Parczewski, przyjaciel jego, słaby od niejakiego czasu, zachorował gwałtownie, że krew wyrzuca ustami. Hrabia i Adam pośpieszyli czempredzją do chorego. Wszystkim serca ścisnęły się żałośnie, młody bowiem kapłan powszechnie był kochany.

Chory umarł w trzy dni potem. Śmierć ta opóźniła cokolwiek wyjazd rodziny S. Zatrzymano się dla pogrzebu. Pochowano zmarłego w sklepieniach kościoła San Stanislao dei Polachi; widać tam dotąd kamień z napisem: Ksiądz Parczewski uczeń teologii. Przyjaciele, ziomkowie, pochowali go 3. Maja 1830 r. Napis ułożył Adam.

Nazajutrz potem hrabia z rodziną opuścił Rzym: wybrał się z powrotem do kraju. Wszyscy znajomi odprowadzili podróżnych o parę mil do Horta. Strzelecki z młodym księciem towarzyszyli im do saméj Florencyi. Adam jechał z paniami w jednym powozie. Wówczas dał Ewuni na pamiątkę poezye swoje w dwóch tomach, wydane w Petersburgu. Na okładce wypisał jęj imię i nazwisko, dalej: W dzień odjazdu z Rzymu. Adam Mickiewicz. Na pierwszej kartce skreślił te słowa: W bramie del popolo. Wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień ani w nocy, będziemy w dobrém zdrowiu. Do widzenia!

Na drugim tomiku, w którym są Dziady, napisał wielkimi literami: Nie wolno czytać! W Dziadach mnóstwo ustępów poprzekreślał ołówkiem na krzyż.

Co znaczyły te krzyże, pokreślone w najrzowniejszych ustępach, wywołanych inném wspomnieniem! To samo zapewne znaczyły, co te słowa poety:

Pamiętki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nie nie czuć z daleka od ciebie.

Hrabiemu nie podobał się wcale ten upominek; raziło go to szczególnie, że przed imieniem, nie było położono: pannie.

„Zkąd taka poufałość?“ powtarzał zasepiony.

Smutna była chwila rozstania, tak dla Adama jak dla Ewuni. Wszystko zdawało się zapowiadać, że więcej się już nie zobaczą. Ewunia wracała do Krakowa; Adam spieszył do Neapolu i Sycylii. Za kilka dni miał i on opuścić Rzym z przyjacielem.

Pożegnali się w Starta. W powozie pań zajął miejsce Adama Strzelecki, szczerzy jego przyjaciel; rozmowa toczyła się ciągle o nieobecnych. Ewunia umiała na pamięć wszystkie jego poezye oprócz sonetów; w podróży przyszła na nie kolęj. Powtarzając jego słowa, mniemała że rozmawia z nim jeszcze.

Po drodze zatrzymali się w Terni; zwiedzili tam pyszny wodospad de la Marmora, najpiękniejszy z wodospadów włoskich. Dwie wielkie rzeki Vellino i Nera, rzucając się tu razem z ogromnej wysokości, i ztąd rozbiegają się na dwie strony. Na brzegach kwitły róże. Słowiki nieznane w okolicach Rzymu, śpiewały chórem wśród cyprysów. Ewunia opisała to uroczne miejsce i doznane w niem wrażenia. Hrabina posłała Adamowi ten obrazek; odebrał go w Neapolu, odczytał z radością, odpisał z uniesieniem: „Chyba Duch Święty natchnął ją, że tak pięknie po polsku napisała.“

Przybyli do Florencyi. Tu doszła ich wiadomość o śmierci ojca hrabinęj. Wpłynęło to na zmianę projektów. Hrabia chcąc rozerwać stroskaną żonę, wywioził ją na kilka miesięcy do Paryża. Zimę postanowili spędzić w Rzymie.

Adam uwiadomiony listem hrabiny o nowych zamiarach, odpisał jęj do Paryża poste restante. Hrabina sama odebrała list na pocztę, dała go córce do czytania. W nim był cudnie piękny wiersz, napisany w Neapolu, którego początek odnoszący się do wspomnień z Tivoli, przytoczyliśmy wyżej. Ostatnie słowa malowały tęsknotę poety, mimo cudów przyrody jakie go otaczały.

Znasz-li ten kraj,
Gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł
Swej drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmia potoki,

Znasz-li ten kraj? ach tu, o moja miła
Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była!

Jeżeli Adam u stóp Wezuwiusza marzył o chwilach spędzonych w Tivoli, mamy wszelkie powody do domysłów, że i Ewunia w obec przepychu paryzkiego, w pośród zgiełku i wrzawy ówczesnej stolicy świata, zwracała z tęsknotą myśl ku cichęj, a tak wymownej milczeniem kampanii rzymskiej.

Paryż, jak mówi, wcale ją nie zachwycił. Odwracała z niechęcią głowę od złota i dyamentów, połyskujących w galeriach Palais Royal. Muzea Luwru wydały jęj się ubogie, w porównaniu z watykańskimi. Gwar bulwarów ogłuszał ją, kościoły paryzkie puste były dla niej i chłodne.

Państwo S. przebywali w Paryżu, kiedy wybuchnęła tam rewolucja lipcowa. Adam dowiedziawszy się przez gazety o tém co zaszło, rozpiął listy do wszystkich znajomych jakich tam miał, zapytując o hrabiego i rodzinę. Z listu hrabiny dowiedział się wreszcie, że obróćą drogę na Szwajcaryę, że resztę lata i część jesieni mają zamiar przepędzić w Genewie.

Jakoż przybyli tam w połowie Sierpnia. Od roku bawił w Genewie młody jeszcze bardzo Zygmunt K. przyszedł autor Irydyona. Miał on liczne stosunki w świecie uczonym: znał dobrze Sismondego, autora Historii Włoch, Boanstedttena autora Studyów nad Latium. Ten ostatni przeczuwał w młodzińcu niepospolity geniusz, wówczas już nazwał go młodem orłkiem, wróżąc świetną przyszłość z pierwszych polotów. Zygmunt drukował wtedy w Bibliotece genewsk. (1830) pogląd na literaturę polską; genialne spostrzeżenia zwróciły uwagę powszechną, i wywołały chlubny sąd Boanstedttena.

Młody autor wprowadził do domu hrabiego, znakomitych przyjaciół swoich. Zebrania literackie urządziły się niebawem w gościnnych progach światłego magnata polskiego.

W krótkie te zebrania ożywiły się bardziej jeszcze. Czwartego Września przybył Adam z panem Edwardem. Serce Ewuni uderzyło mocno, gdy go ujrzała wchodzącego do salonu. Ojciec skrzywił się, cień przemknął po jego czole, a jednak z udaną uprzejmością przyjął go w domu własnym. Spreczne uczucia targały nim bez ustanku. Z jednej strony duma polska nakazywała mu uczcić pierwszorzędnego geniusza narodowy, z drugiej strony, duma magnata zżymała się na myśl samą związków jedynaczki, z prostym szlachcicem zaściankowym.

Wielki poeta zrozumiał tę walkę, i odmalował ją wybornie w sprecznych uczuciach jakie miotają sercem Horreszki. Dumny Stolnik, nie śmiał zadzierać z tym, o którym:

Śpiewały szlachcianki:

Oto Jacek was kręci, trzęsą się zaścianki,
A komu na swym wasie węzełek zawiąże,
Ten zdradzi, choćby to był sam Radziwiłł książę.

Mingły czasy sejmików: walka toczyła się w obszerniejszych szrankach! Któżby przebaczył zniewagę wyrządzoną Mickiewiczowi?

W ciągu dwumiesięcznego pobytu w Genewie, Adam bywał codziennym gościem w domu hrabiego. Przywiózł on Ewuni mnóstwo drobnych pamiątek zebranych po drodze; miał to być zawiązek przyszłego muzeum. Między innemi były dwa gwoździe z Pompei, maleńki Wezuwiusz w miniatrze, odlany z metalu, i ów odlamek kryształu skalnego z Mont Blanc, o którym wspominaliśmy powyżej.

Ewunia spostrzegła wielką zmianę w jego powierzchowności. Dotąd zaniedbany cokolwiek w ubraniu, teraz nadzwyczaj był staranny, prawie wytworny. W Genewie, kraju zegarmistrzów, kupił piękny zegarek; kazał na nim wyrzeć herb Poraj, ozdobiony mitrą książęcą. (Mickiewiczze mają mitrę w swym herbie.)

Oglądali wszyscy ten zegarek, oglądał go i hrabia. Może być że Adam chciał tym sposobem przypomnieć, że Poraj ma prawo stanąć w parze z Habdankiem.

Byłże to czarodziejski wpływ tej mitry? nie wiemy! to jednak pewne, że kilka miesięcy przepędzone w Genewie zeszyły nadzwyczaj miło. Wieczorami bawiono się w gry pisane, tym sposobem łatwo było zamienić nie jedną myśl, któraby inaczej nie wybiegła może przez usta. W pogodne dni jesienne rozpoczęły się wycieczki statkiem po jeziorze. Zwiedzono razem Vevay, Lauzanne, willę Diodatti Bayrona, Coppet pani de Stael, zamek Ferney Woltera.

Umysłowe zajęcia przeplatały zabawy. Ewunia więcę niż kiedykolwiek zdrowa i rozbudzona, przełożyła Farysa na włoski język. Adam pochwalił pracę, sam przełożył dla niej sonet Petrarki.

Zachęcona próbą przetłumaczyła śliczną poezję p. Edwarda o Alpach. Podziękował jej za to pięknym wierszem o alpejskim pasterzu. Żałujemy bardzo że go tu nie mamy pod ręką.

Prosiła potem p. Edwarda, aby dla niej przetłumaczył sonet o śmierci starego włoskiego poety Felicio Felicaja.

Odpowiedział piosenką, oto jej pierwsza zwrotka:

Nie, smutnych pieśni, nie chcę ci powtarzać,
Zkąd ci gust do nich? w samym lat rozkwicie,
Anioł dobroci, i ty już na życie
Tak drogie innym zechcesz się uskarzać!

Nie pamiętamy dalej, wiemy tylko że jest tam słówko tchnące otuchą:

„Rzecz pożądana przychodzi powoli..”

Ewunia zachowała do dziś dnia wdzięczność za onę wróżbę przyjacielską, na niej to długo budowała nadzieję, która spełnić się niestety nie miała!

Pamięć tych dwóch miesięcy spędzonych w Genewie a następnie na pograniczu Sabaudyi nad rzeką Arwą, w miejscu dziwnie uroczym, odbiło się w myśli Ewuni, jak wspomnienie straconego raju. Z każdym dniem uczucie Adama objawiało się coraz to silniej, a jak się domyślamy i serce Ewuni, coraz silniej też kołatało. Widział to ojciec, i coraz grubszy cień przemykał po jego dumnym czole. Mitra jakoś straciła powoli swój urok, przeważały ją widać inne względy.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Poczty gołębie i Photomikroskopia.

Przesyłanie wiadomości za pomocą gołębi znane było jeszcze starożytnym; ale nigdy poczta ta tak się nie wydoskonaliła, jak przy ostatniem oblężeniu Paryża. Poczta nadpowietrzna w Paryżu, dzieliła się na dwa działy; na

pocztę przynoszącą i na pocztę odnoszącą wiadomości. Z rozkazu prefekta departamentu północnego 1,100 gołębi wręczonych było przez właścicieli panu Kazimierzowi Derode. Maire Paryża przewiózł je i ulokował w Muzeum. Gołębie

te należały do tak zwan. Towarzystw gołębic, czyli gołębiofilów przebywających głównie w Raubaix i Tourcaing. Ofiarowały one bezpłatnie dla służby publicznej usługi swych posłańców nadpowietrznych. Wychowaniem ich i strażeniem zajmowało się dwóch bardzo zręcznych nauczycieli, pp. Man i Leman, którzy do tak wielkiej doprowadzili uczniów swych doskonałości, iż gołąb' puszczoney w Paryżu, w ciągu dwóch godzin wracał do swego gołębnika w Roubaix. Muzeum historii naturalnej przed oblężeniem zaopatrzone zostało w zapasy potrzebne do wyżywienia 2,000 gołębiopocztylionów, które z początku zastępowały balony i przenosiły depesze na Północ. Żywność głównie stanowiło zboże.

Zimna towarzysząca oblężeniu, utrudniała albo nawet uniemożliwiała odlatywanie: gdyby nie ta okoliczność, komunikacja byłaby pewną i często.

Tak jak już wyżej powiedzieliśmy, ten rodzaj przesyłania wiadomości nie jest nowym. Na początku bieżącego wieku tworzyły się towarzystwa gołębiofilów, które rok rocznie rodzaj wyścigów urządzały. Zwykle kilku właścicieli gołębi umawia się o punkt, z kąd jednocześnie wysłane być mają. Gołąb' przybywający najpierw do swego gołębnika, wygrywa zakład i swego pana robi prezesem stowarzyszenia. Ludność północnej Francji z zapałem oddaje się temu nowemu rodzajowi Sporku. Niektóre gołębie tak są udoskonalone, że w bardzo krótkim czasie przybywają na północ do swych gołębników, z miast na południu położonych. Próbowano nawet dwa razy wysłania do Rzymu, ale ponieważ przy przebywaniu morza i Alp wiele ginęło, dziś więcej prób nie robią.

W ostatnich latach krzyżowaniem udoskonalono rasę gołębi znacznie; mianowicie co do szybkości lotu rezultat był nadzwyczajny. Tak np. odległość z Saint-Sébastien do Liège, z Toulouzy do Brukselli przybywa gołąb' w dzień jeden.

Specjaliści według rachunku opartego na wielkiej liczbie doświadczeń, oceniają szybkość lotu dobrego gołębia od 1000 do 1200 metrów na minutę, szybkość która bardzo się zmniejsza stosownie do okoliczności, np. wiatru przeciwnego.

Czas najdogodniejszy lotowi, jest odpowiadający wianu wiatru południowo-wschodniego; powietrze przeniknięte jest wtenczas parą, przy której gołąb' niedoświadcza pragnienia. I z tej to przyczyny przypisać należy, że wybór miast z których wypuszczają gołębie zawsze pada na południe lub południe-wschód. Jednakże, jeżeli gołębie są wprawione, mogą przelatać przestrzenie z północy na południe.

Obuczanie gołębi jest sztuką oddzielną. Kiedy gołębiofil wykszałci już uczni swoich, kiedy gołąb' przez kilka miesięcy latając w koło gołębnika zapozna się z miejscowością, przystępuje do następujących ćwiczeń:

Właściciel zamyka go w koszu szczelnym i przewozi raz pierwszy o 10 kilometrów — po każdym powrocie do gołębnika podwyższa odległość tak, że za siódmą podróżą gołąb' przebywa przestrzeń 250 kilometrów. Odległość ta w pierwszym roku nauki odpowiada mniej więcej odległości z Tours do Paryża.

W czasie oblężenia Paryża, publiczność często zbiegała się w punkt jeden widząc gołębia na dachu. Było to bę-

dne przypuszczenie, że gołąb'-posłaniec znużony drogą odpoczywa. Gołąb' gdy jest blisko gołębnika, chociażby był zmęczony, całym pędem skrzydeł leci do domu, do którego drogę zna doskonale.

Niepomyślne rezultaty otrzymane z gołębi wysyłanych z Paryża w czasie oblężenia przypisać należy ziemie bardzo srogięj.

Gołębie podróżujące mają wzrok bardzo przenikliwy, pewny i subtelny; pamięć lokalną nadzwyczaj rozwiniętą. Tym dwom przymiotom przypisać należy użytek jaki nam przynoszą. Mgła gęsta osłabia wzrok ich, a zimno siły, i w takich razach łatwo błędzą z drogi. Zauważano powszechnie, że edukacja jest konieczną, gdyż bez niej nawet na krótką odległość, mylą drogę.

Oto są główne uwagi dotyczące się gołębi-posłańców. Co do ich historii w starożytności i współczesnej, co do przenoszenia przez nie wiadomości giełdowych, wtenczas jeszcze kiedy telegrafy nie istniały, co do historii sportów gołębiofilów, konkursów miast i wsi północnej Belgii, można byłoby wiele czytelnikom powiedzieć — dziś poprzestajemy na krótkiej wymianie o użyteczności pięknego gołąbka, którego Noe za posłańca zgody i miłości użył.

Do środków komunikacji myśli, używanych w czasie oblężenia Paryża należy tak zwana Photomicroscopia. 11 Października 1870 r. administracja poczty zawarła umowę z p. Dragon, o użycie Photomicroscopii jako środka odpowiedzi na korespondencje wysłane balonem do departamentów.

P. Dragon znany był w świecie fotografów ze swoich wyrobów mikroskopicznych, wykonanych z największą dokładnością i czystością.

Połączyć wszystkie depesze mające być wysłane do Paryża; odfotografować przynajmniej 20,000 liter na cienutkiej skórcie, mającej powierzchnię wzdłuż trzy centymetry; odbić wielką ilość egzemplarzy i ułożyć je w malutkie rurki z piór; przyszyć te rurki do ogona tyłu gołębi, ile wypuszczonych być miało; oto był sposób używany do przesyłania wiadomości, z gorączkową niecierpliwością w Paryżu oczekiwanych. Skoro gołąb' przybył do stolicy, wyjmowano rurki, a skórę z korespondencją przylepiono na lustrze, umieszczone w latarni magicznej, oświetlonej elektrycznością. Po powiększeniu liter za pomocą szkła, przystępowano do przekopiowania i rozesłania depesz do rąk właściwych.

Dzięki procesowi Photomicroscopii, cała ta czynność odbywała się z największą prostotą. Skoro ludność Paryża dowiedziała się o nowym sposobie przesyłania depesz, nadzieja posiadania nowin z prowincji była ogólna.

Główne warunki umowy zawartej między administracją poczt i p. Dragon były następujące:

P. Dragon miał obowiązek udania się balonem z aparatem fotograficznym do Clermont-Ferrand. Tam delegowany administracji podawał depesze, które w ciągu 24 godzin miały być wysłane. Wynagrodzenie było hojne; za każdy klisz płaćła administracja 13 fr. 50 cent. Prócz tego kosztą instalacji, podróży i t. d.

Delegowany administracji poczt, p. Fernique przybył do Tours 18, a p. Dragon 21 Listopada. Ten ostatni, wymija-

jąc wojska nieprzyjacielskie, jadąc wśród największych niebezpieczeństw utracił połowę ze swoich bagaży i przyrządów fotograficznych. Umieszczenie aparatów i organizacja służby pozwoliły zaledwie 5 Grudnia pracę rozpocząć; — 11 zmuszeni byli przenieść się do Bordeaux, tak że właściwie stałe wysyłanie depesz rozpoczęło się 15 Grudnia.

Przy pierwszych depeszach każda stronnica mieściła 1,200 liter (każda stronnica miała powierzchni jeden millimetre kwadratowy). Później i rozmiar udoskonalonym został. W ogóle 16 stroniczek ważyło pięć centygramów.

W ten sposób około 100,000 depesz wysłanych było do Paryża.

Skoro tylko administracya w Paryżu dostała do rąk rurkę z piór, zajmowała się jej otworzeniem przez włożenie w wodę zawierającą w sobie amoniak. W tym roztworze rurka rozwijała się szybko; wyjmowano dapesze i przystępowano do procesu, o którym wyżej mówiliśmy.

Czytanie niezajmowało wiele czasu. Depesze pisane cyframi, odczytywał dyrektor bióra — literami zaś urzędnicy.

GOŁAŃCZ.

(Z ryciną.)

Blisko miasta wznosi się zamek ozdobnie zbudowany i wysokim murem i fossą obwiedziony, pamiętny w dziejach pierwszej wojny szwedzkiej za Jana Kaźmierz. Tu dnia 30 Kwietnia roku 1656, gdy szpiegi wodzom króla Gustawa donieśli, że jeden kasztelan z niewielką liczbą szlachty i dwunastu chłopami obwarował się w zamku gołanieckim, dla szkodzenia z tamtąd Szwedom, książę Adolf Jan posłał oddział jazdy, aby zamek odebrać przez układy, ale kasztelan odpowiedział, że chce zginąć w murach i ognia dać kazał. Przybyło więc Szwedów, zaciągnięto cztery działa i bito w bramę, aż ją strzaskano. Polacy potem z ręcznej strzelby bronili jeszcze długo przystępu, ale Szwedzi wyciąwszy palisadę, położyli most przez fosę i opanowali dziedziniec. Zaczęła się wtenczas rzeź okropna. Po kątach kryły się kobiety, które przed wojną uszły były z nieobronnych wiosek. Zbladłe, nieme z oczekiwania śmierci, niepokazywały prawie życia. Na ich szczęście, nawinął się szwedzki generał-major Byłow, a był to człowiek dobry i łagodny, wziął

je więc pod swoją opiekę i odprowadził do księżęcia, a ten je bez okupu puścił. Reszta co tylko oddychało, padło trupem, tak, że ani jednego jeńca nie zabrano, ani też nikogo niepuszczono. Ci, co się schowali pod dachy i w kominy, spłonęli w pożarze, który obrócił zamek w perzynę, aż do fundamentu. Między zabitymi znajdował się pleban miejscowy X. Jan Stolicki.

W pobliżu Gołanicy niedaleko młyna prostkowskiego nad błotami Noteci, znajdują się szczątki starożytnego zamku, siedziby niegdyś familii Smoguleckich. Nadgrobniki tejże rodziny, znajdują się w kościele w Smogulcu.

Wspomnieć nam jeszcze należy w tej okolicy wieś Danaborz, a w niej zwaliska zamku niegdyś obronnego nad jeziorem, na przeciwko wsi Grylewa położonego. Tu niegdyś mieszkali Danaborscy, herbu Topor, dom znakomity z pokrewnionymi z Piastami Szląskimi i który stosownie do tradycji miejscowej tytułu książęcego używał.

Szarada.

Piękne wszystkie, autor tej szarady,
Zbudowanej z wierszy małowartych,
Kornie pada wam do drugich czwartych,
Chcę na kłopot pierwszy piąty rady.
Jest żonaty, żona go posyła,
Trzecie, drugie, piąte, do fryzjera,
Będzie burza jak źle podobiera...
Gdybyż która z Was go wyręczyła.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 20: *Pugilares*.)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Mlickiemu: Żądane dzieła Wojnarowskiej przesłaliśmy, ale pod przypuszczalnym adresem, bo miejsce zamieszkania pańskiego jest tak niewyraźnie napisane, że wyczytać niepodobna. Posyłkę pocztą zwróciła. Gdzie ją mamy przesłać? — Panu F. F. pod Kościanem: Traktat o panteistach bardzo się nam podobał, ale do pisma naszego jest nieodpowiedni. — Panu L. B. w Poznaniu: Nie zdadne. — Panu Torkwato w Poznaniu: Ponieważ pan dopominał się koniecznie i to w sposób niegrzeczny, wyjawienia powodu dla którego wierszy jego nie drukowaliśmy, oświadczamy: Wiersze były bez żadnej wartości. — Pani Anieli pod Gołubiem: Chętnie służymy. Czy i jak były poprawne pierwsze trzy tomy. Kata log wysłany.

Do naszych czytelników.

Mimo nader liczne zamówienia na **Pisma Wojnarowskiej 6 Tom**, mamy jeszcze pewną ilość egzemplarzy w zapasie i dotychczas sprzedajemy **abonentom Sobótki** egzemplarz tych **Pism 6 tom**. (zamiast za 6 tal.) **za 1 tal.**, ozdobnie oprawne za 2 tal. Prosimy jednakże o spieszne zamówienia, niebawem cenę tę zamierzamy podwyższyć.

Równocześnie zwracamy uwagę abonentów Sobótki, aby kwity prenumeracyjne w r. b. pilnie chowali. Przygotowujemy abonentom naszej ulubionej Sobótki nową niespodziankę, o której, skoro tylko ogłosimy szczegóły, nie wątpimy iż każdy abonent Sobótki korzystać zechce.

Mieczysław Leitgeber i Spółka,

Redakcyja i Nakładcy Sobótki.